

KSIĘGA WOJNY



ANNA BRZEZIŃSKA

JAKUB ĆWIEK

MICHAŁ KRZYWICKI

JAKUB NOWAK

ŁUKASZ ORBITOWSKI

PAWEŁ PALIŃSKI

JACEK PIEKARA

KRZYSZTOF PISKORSKI

ANDRZEJ SAWICKI

MARCIN WEŁNICKI

KSIĘGA WOJNY

KSIĘGA WOJNY

**ANNA BRZEZIŃSKA
JAKUB ĆWIEK
MICHAŁ KRZYWICKI
JAKUB NOWAK
ŁUKASZ ORBITOWSKI
PAWEŁ PALIŃSKI
JACEK PIEKARA
KRZYSZTOF PISKORSKI
ANDRZEJ W. SAWICKI
MARCIN WEŁNICKI**



Agencja Wydawnicza
RUNA

KSIEGA WOJNY

Copyright © by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2011

„Jeden dzień” copyright © 2011 by Anna Brzezińska

„Bajka o trybach i powrotach” copyright © 2011 by Jakub Ćwiek

„Głosy” copyright © 2011 by Michał Krzywicki

„Ciężki metal” copyright © 2011 by Jakub Nowak

„Kanał” copyright © 2011 by Łukasz Orbitowski

„Wszystko, co przyjdzie, już pozostanie” copyright © 2011 by the Author;

copyright © for interior illustrations by the Author

„Artur Potter Lwie Serce” copyright © 2011 by Jacek Piekara

„Prawo losu” copyright © 2011 by Krzysztof Piskorski

„Bóg jest z nami” copyright © 2011 by Andrzej W. Sawicki

„Lato księżycowych ciem” copyright © 2011 by Marcin Wełnicki

Copyright © for the cover and interior illustrations by Artur Sadłos / Red Flying Robot

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Artur Sadłos / Red Flying Robot

Opracowanie graficzne okładki: własne

Redakcja: Ewa Cieślak – „Głosy”, Renata Lewandowska – „Jeden dzień”, Maria Radziwińska – „Bajka o trybach i powrotach”, „Ciężki metal”, „Kanał”, „Wszystko, co przyjdzie, już pozostanie”, „Artur Potter Lwie Serce”, „Prawo losu”, „Bóg jest z nami” i „Lato księżycowych ciem”

Korekta: Krzysztof Wójcikiewicz

Skład: własny

Wydanie I

Warszawa 2011

ISBN: 978-83-7787-000-6

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 436

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

www.runa.pl

Anna Brzezińska

JEDEN DZIEŃ



Mag pojawił się pod bramami ogrodu znienacka – choć oczywiście nie można zaskoczyć innego czarodzieja, zwłaszcza zaś tak umiejętnego jak Cardo di Valle dei Ruscelli. Argosi wypatrzyli gościa z wieżyc castello, zanim jeszcze wjechał w granice posiadłości. Ultramarynowy płaszcz unosił się nad nim jak skrzydła drapieżnego ptaka, kiedy przekraczał most nad Mairą. Melissa odważyła się wychylić zza głowicy kolumny i w oczy uderzył ją błysk odbity od rękojeści sztyletu, symbolu godności maga. Cofnęła się, a może to niania pociągnęła ją za rękaw.

– Czas na ciebie, dziecko.

Pomiędzy balaskami, tuż pod jej oknem, śpiewał drozd.

Potem szykowano ją, nakładano warstwy halek, ściągano sznurówki, mocowano wałki wypchane pakułami z konopii, fiszbiny i obręcze. Służebne podnosiły się i opadały w swoich sukniach z bladozielonego adamaszku, i promienie słońca również tańczyły na posadzce wyłożonej mozaiką z piaskowca i malachitu. Melissa zamknęła oczy. Demony zaryczały z głębi marmurowych lwów, kiedy mag wjechał na dziedziniec castello, kakusi z chrzęstem sprezentowali broń, ale gość nie odezwał się ani słowem. Jego koń zarżał z cicha pod triumfalną bramą portyku i wszystko znowu umilkło, pochłonięte przez pieśń ogrodu.



Ruchy służebnych stawały się coraz szybsze. Magowie nie lubili czekać. A gdy Melissa wreszcie była gotowa, dwie panny musiały ją podtrzymywać na wachlarzowatych schodach, żeby nie upadła pod ciężarem stroju i klejnotów, jakimi ją ozdobiono, i ani odrobina słońca nie przesączała się przez bielidło z merkuriusza i ołowiu.

– Moja córka. – Głos ojca wiódł ją przez arkady loggii, a maskarony cmokały spomiędzy liści kapiteli i wychylały szpetne, kuddate głowy, żeby jej przypomnieć o grzechu śmiertelnych.

Dzisiejszego ranka nie śmiały jednak zbiec w dół i otrzeć się o ramię księżniczki. Magia syczała w powietrzu, liście winorośli skręcały się od żaru, którego nie wyczuje zwyczajny śmiertelnik – a może jedynie zakręciło się jej w głowie od woni ziół w giardino secreto i dlatego nie zdołała zobaczyć twarzy gościa, kiedy podniósł się z ławy, żeby ją powitać. Wciąż miał na ramionach płaszcz. Ultramarynowa materia kłębiła się jak żywa, wyłuskując błękitnawy połysk z głębi marmuru i powlekając trawy trupią sinością. I wewnątrz casolaro wydało się jej nagle obce, głębokie jak Abisso delle Odine, której nigdy nie widziała, bo córki książyk Valle dei Ruscelli nie opuszczają doliny i całym jej światem był ogród, rozkrzewiony na dziewięciu tarasach, a każdy z nich miał demony jemu tylko przynależne i właściwe.

Na szczęście jej ciało poruszało się, wyrzeźbione w suknie, atłasie i bielidle i okiełznane równie nieodwracalnie jak cztery niobe, które łkały w rogach casolaro. Demony unosiły ku niebu ułamki nadgarstków, a ich łzy przelewały się przez marmurowe konchy i spadały do ruczaju okalającego z trzech stron pawilon. Ale woda kryła się tu wszędzie, tryskała z ust posągów, z muszli w ramionach trytonów, oczodołów masek i kaskadami przetaczała się pomiędzy tarasami, żeby wkrótce wznieść się na nowo w rozbryzgach



fontann, tłoczona przez niezliczone duchy, ściągnięte tu z nadksiężycowego świata. To była Valle dei Ruscelli, Dolina Strumieni, duma i chluba książąt Torrione o tysiącu wież, i nic nie pozostawiono tu przypadkowi.

Pędy winorośli jak zielone węże pełzły z szelestem po gzymsie loggii i gdzieś od strony Grotta del Centauro odzywały się żaby. Melissa nigdy nie umiała zgadnąć, który z cudów ogrodu wyczarowano sztuką ogrodników – a przybywali tutaj od pokoleń z całego Półwyspu – który zaś zawdzięczała ułudnej magii czarodziejów.

Pośrodku pawilonu alabastrowy pastuszek wygrywał na fletni starą melodię, nad kielichami z trebbiano i tacą z waflami wisiały przejrzyste ważki. Owszem, w wielu innych miejscach powitano by gościa bardziej wystawną ucztą, lecz w wiejskiej siedzibie książąt Torrione hołdowano prostym obyczajom albo przynajmniej przybierano pozór prostoty, w istocie polerując każdy gest i każde słowo jak cynowe posążki dawnych mistrzów. Dlatego magom nie towarzyszyła służba, tylko pojedynczy ganimed rozlewał wino i podawał ręczniki, ostrożnie, żeby nie zakłócać biegu myśli swego pana i nie mącić pieśni drozda, który przysiadł nieopodal w gałęziach tamaryszku.

– Panowie – powiedziała Melissa, gnąc się nisko pod ciężarem sukni i ponieważ tak przystoi córce maga, kiedy wita gości dostojniejszych od siebie.

Corvo di Montenegro ujął ją za przegub i odsunawszy służebne, pociągnął ku górze.

– Wiele mówiono mi o urodzie ogrodów – odezwał się, trzymając ją blisko przy sobie, i wtedy po raz pierwszy usłyszała głos mężczyzny, który miał ją poślubić – lecz nikt nie oddał sprawiedliwości najpiękniejszemu z cudów Valle dei Ruscelli i najbaczniej strzeżonemu.



– Czyż nie tak powinno być? – Cardo uśmiechnął się. – O urodzie kobiet powinno się milczeć, podobnie jak im samym milczenie dodaje przymiotów.

Milczała więc, jasna i nieruchoma jak odcięta głowa ladona, emblemat jej ojca. Zresztą sama także była emblematem jego potęgi, córka ukształtowana na podobieństwo perły w muszli perłopława, głęboko pod powierzchnią wody.

– To prawda. – Gość także uśmiechnął się nieznacznie, lecz nadal nie zwalniał uścisku. Poprzez opuszczone rzęsy widziała błękit jego oczu i rozmazaną smolistą smugę włosów, którym zawdzięczał przydomek. Le Corvo. Kruk. – A uroda nie jest największą z ich zalet.

Miał rację: córki książąt Valle dei Ruscelli nie gustowały w zakazanych sztukach. Dojrzewały wśród alabastrowych posągów i rozchybotanych liści, nasłuchując głosów demonów, które od pokoleń łączono z kamieniem, metalem czy szkłem, lecz żadna nie zhańbiła się krwawą magią. Szarzy braciszkanie nigdy nie stanęli pod bramą castello i nie domagali się, by wydano im panią zamku, jak czyniono z kobietami, jeśli zanurzyły się w niebezpiecznie kunszty i zmieniły w stregi. Jednakże księżniczki z Doliny Strumieni nie musiały dowodzić swojej czystości podczas Prove, co często przydarzało się kobietom, jeśli posiadały zbyt dużo wiedzy. Przechadzały się tylko pomiędzy kwadratami i kołami z gładko przystrzyżonego bukszpanu, wyniosłe i jasne jak lilie. I tak je właśnie nazywano. Liliami z Valle dei Ruscelli.

Dlatego wielu magów prosiło o nie, pragnąc zanurzyć się w tę spokojną turkusową magię, która tliła się pod ich powiekami, a potem przekazać ją swoim synom.

Gość odsunął ją delikatnie.

– Przywiozłem dla ciebie dar – powiedział, wciąż się uśmiechając, tak pewny siebie i niewzruszony, jak tylko magowie potrafia.



Corvo pochylił się ku niej nieznacznie. Zbyt lekko, żeby mogła się cofnąć, nie narażając się na gniew ojca. Dziś nie mogła sobie pozwolić na niezręczność, ale doprawdy nie wiedziała, jak ich zadowolić.

Ultramarynowa materia skłębila się w zagłębieniu jego ramienia.

Melissa była przerażona. Tego dnia lęk nosił mnóstwo imion i żadnego z nich jeszcze nie odgadła.

Cokolwiek to jest, pomyślała, bo przecież żadna kobieta, choćby bardzo młoda, nie mogła pozostać nieświadoma losu Sirocco, Arachne, Luany oraz wielu innych, którym nie poskąpiono przeklętych darów czarodziejów, cokolwiek to jest, niech się stanie szybko. Tak szybko, by nie pozostał już czas na rozpacz, ból i strach. Odwróciła wzrok ku strzępowi trawy pomiędzy kolumnami loggii. Włosy zmarłych, pomyślała, przystrzygane codziennie, wciąż wybijają spośród kamieni, osaczają nas wonią robaków, butwiejących liści, ocierają się korzeniami o posadzkę pawilonu, niesłyszalne i niepokonane. Sirocco, Arachne i Luana. Nie da się wykarzcować śmierci. Nie da się zapomnieć.

Miała piętnaście lat.

– Czarna pantera w naszym zwierzyńcu urodziła małe. – Mag odezwał się tak cicho, jakby byli zupełnie sami, i teraz nie wydawał się już taki pewny siebie, jej i całej reszty. – Sześć kociąt, a to jest najstarsze i najsilniejsze ze wszystkich. Pomyślałem, że umili ci oczekiwanie na wyjazd do Montenegro.

I będzie moim strażnikiem, pomyślała z rozpaczą, dopóki nie staniesz się nim ty. Zaraz jednak kociak wychylił się spośród ultramarynowej tkaniny, puchaty i niezgrabny. Kichnął, odślaniając ostre zęby i czarno pręgowane podniebienie.

Ojciec rozpromienił się i dał jej znak, że może przyjąć podarunek. Czarne pantery z rzadka mnożyły się w niewoli, więc



narodziny w księżącym zwierzyńcu, zwłaszcza w przededniu zaślubin, stanowiły niezwykle szczęśliwy prognostyk. Ale i bez tego wiadano, że córki panów Valle dei Ruscelli rodziły silnych synów i przelewały w ich żyły magię, a także tę osobliwie jasną barwę oczu i włosów, dzięki której przyciągały moc słońca, podobnie jak melissa, krokusy i heliotrop, kwitnące w ich ogrodach.

A później wiele z nich umierało młodo. Co również często poczytywano im za zaletę.

Kociak podniósł łapę, żeby uderzyć Melisę w twarz. Uchyliła się, a pantera natychmiast wczepiła się w jej ramię, szarpiąc delikatne hafty sukni.

Cardo przywołał ganimeda i z ulgą podała zwierzę demonowi. Pantera rzucała się wściekle w jego uścisku, syczała nienawistnie i darła pazurami marmur, wyczuwając naturę sługi.

– Kiedy dorosną, używamy ich – wyjaśnił Corvo – żeby polować na zbiegłe demony. Jeśli raz złapią trop, nie ustają, póki nie doślą zdobyczy.

– To się wciąż zdarza? – Cardo zdziwił się uprzejmie, chociaż wiedział, że po Guerre dei Gierofanti, Wojnach Hierofantów, wiele rodów wygasło i wiele okolic popadło w ruinę, a po ścieżkach Półwyspu krążyły gromady demonów, które osłabły w ludzkim świecie tak dalece, że po śmierci swych ciemniejszych nie potrafiły się już wznieść ponad księżyc.

Uciekały więc jak najdalej od siedzib magów i wielkich miast, gdzie ktoś mógł je rozpoznać. Dużo z nich chroniło się w Monti Serpillini, inne kryły się aż na Arcipelago della Rugiada Rossa, gdzie dzikie szczepy, za nic mając groźby czarodziejów i napomnienia wędrownych braci, mieszały swą krew z przeklętą posoką demonów. Tak właśnie powstawały monstra, potworne i bluźniercze, z pozoru przypominające śmiertelników, w głębi serca wszelako



nienawidzące rodzaju ludzkiego. Magowie ścigali je bez litości, jeśli były wystarczająco głupie, żeby zbliżyć się do ich siedzib.

Do Valle dei Ruscelli nie śmiały jednak podchodzić. Ogrody, od pokoleń w ręku tej samej rodziny, nigdy nie zostały splądrowane i wystawione na łup obcych mocy. Władcy Torrione, bardziej jeszcze arogancy i zuchwali niż większość ich pobratymców, nie otoczyli ich warownym murem. Od pół i okolicznych posiadłości oddzielały je jedynie niskie murki, które w istocie były cielskiem ladona i wiły się wokół wszystkich dziewięciu tarasów. Jednakże nawet zwykły wieśniak mógłby przeskoczyć nad nimi, a potem przejść przez bukszpanowe żywopłoty, uformowane starannie w kwadraty, prostokąty i koła – jeśli spoglądało się na nie ze szczytu wieży, zdawały się wirować wokół castello, harmonijne i uporządkowane jak niewidzialne tory gwiazd. Ścieżki stały otworem, schody o wydłużonych stopniach łagodnie rozwijały się na powitanie przybysza. I dopiero tchnienie maga sprawiało, że ladon zaciskał węzowe spłoty wokół intruzów, a drzewa o koronach wystrzyżonych w kształt twarzy demonów zaczynały krzyczeć głosami, od których kości rozsypują się w proch.

– Tak, to się wciąż zdarza – odpowiedział spokojnie Corvo, chociaż Montenegro daleko bardziej ucierpiało podczas Guerre dei Gierofanti i dopiero pod rządami dwóch ostatnich władców mozolnie dźwigało się z upadku.

Wiedziała, że to nieprzyjazna ziemia, uboga w wodę i pełna draieżnych ptaków. Kopalnie ałunu i srebronośne strumienie. Ciemne skały wysoko pod sinym, skłębionym niebem. A także Passo dei Lupi, skalna gardziel broniąca wstępu na Półwysep wszystkim demonom Monti Serpillini.

Tutaj, w Valle dei Ruscelli, trudno było uwierzyć, że naprawdę istnieją. I chociaż z jakichś powodów ojciec Melissy postanowił



poprzeć maga z Montenegro i oddać mu własną córkę w małżeństwo, przecież nie zamierzał żadnym gestem tłumić przepysznego splendoru ogrodów i zaprzeczać swemu dziedzictwu.

Corvo di Montenegro musiał to również bardzo dobrze rozumieć.

– To piękne miejsce – rzekł, obracając w palcach czaszę kielicha. – Czy twoja córka mogłaby mnie po nim oprowadzić?

Prośba była tak zaskakująco zuchwała, że Melissa wstrzymała oddech. Nigdy dotąd nie pozostawiono jej samej z mężczyzną. Owszem, ksiązę Torrino kochał swoją córkę i ufał jej, oczywiście na tyle, na ile można wierzyć kobiecie, a w castello, w cieniu drzew kasztanowca, pistacji i mirtów lekceważono wiele dworskich zwyczajów. Melissa mogła więc w lekkiej sukni tańczyć pomiędzy tamaryszkowcami, zrywać figi, morwy i bergamotki, a czasami nawet wyprawiać się na okryte niebieskim lnem i żółtym janowcem wzgórza wokół ogrodów. Zawsze jednak towarzyszyły jej dwórki i kiedy rozkładały śnieżnobiałe obrusy na trawie albo słuchały baśniarza pod rozłożystym dębem, pyzate putta fikały wokół fikołki, błyskając w słońcu marmurowymi piętami, albo przygrywały im na kitharach. Jednakże ich zadaniem, wpisanym w naturę zaklęcia, które połączyło je z kamieniem, było strzec córki pana choćby przed nią samą i żadna pieśń, żaden hymn o urodzie jej przejrzystych oczu nie mógł tego zmienić. Tak samo zresztą działało się na wszystkich dworach Półwyspu.

Teraz jednak putta pozostały w castello i z pewnością zdecydował o tym sam Cardo.

– Nosi mój pierścień – powiedział cicho Corvo.

To prawda: w największym rozkwicie lata posłaniec przyniósł jej ciężki, kuty w złocie pierścień z głową pantery, herbowym znakiem jej narzeczonego. Piastunka straszyla ją, że oczy zwierzęcia,



wycięte z górskiego kryształu, będą śledzić każdy jej ruch, a ojciec odczytał dewizę rodu magów Montenegro, ukrytą w plątaniu drobnych znaków po wewnętrznej stronie obrączki – „Niechaj powstanie kiedyś z naszych kości mściciel”.

Przestraszyła się wtedy. Wszyscy przestrzegali ją, że Montenegro jest miejscem surowym i smaganym przez wichry.

– Nosi również naszyjnik z topazów – odparł ojciec.

Corvo uniósł brwi.

– Czy Lilia z Valle dei Ruscelli naprawdę go potrzebuje? – zapytał gładkim, uprzejmym głosem maga.

Pomyślała, że tym razem posunął się za daleko, rzucając gospodarzowi w twarz niemal nieprzesłoniętą obrazę. Nawet pospólstwo wiedziało, że topazy miały moc studzenia namiętności i dlatego często stanowiły ozdobę dziewiczych córek magów.

– Nie, nie przypuszczam. – Ku jej zaskoczeniu, ojciec ustąpił z westchnieniem. – Melisso, pokaż naszemu gościowi to, czego pragnie. Ale nie zapuszczajcie się zbyt daleko.

– Nigdy nie naraziłbym jej na niebezpieczeństwo.

Cardo uśmiechnął się zimno.

– Nigdy nie wątpiłem w twój rozsądek, synu.

Ukloniła się przed ojcem, wciąż tak oszołomiona, jakby ją również napojono trebbiano.

– Jak sobie życzyście, panie – wyszeptała, pochylając głowę tak mocno, żeby chociaż przez chwilę nikt nie widział jej twarzy ani nie odczytał lęku zamalowanego warstwą rózu i bielidła.

Ojciec nigdy nie był dla niej okrutny, nigdy też nie wystawiał jej dla rozrywki na pokusę. Złośliwi powiadali zresztą, że jego dobrotliwość została sownie podlana krwią patrycjatu Torrione, bo choć wobec domowników łagodny, bunty tłumił równie zajadle jak jego ojciec i dziad. Nie tłumaczył jednak swych planów Melissie.



Wystarczało mu, że była cicha i skromna jak ziele, którego imię nosiła. Niekiedy przyglądał się, jak tańczy na brzegu strumienia, wybijając stopami fontanny wody, a kiedy przybiegała, żeby mu się pokłonić, łaskawie kładł dłoń na jej włosach.

Innych córek nie miał. Od dziecka Melissę otaczały jedynie geniusze wody i służące. Nawet jeśli ojcu towarzyszyła jedna z kurtyzan, nie spotykała się na ogrodowych alejkach z księżniczką. Czasami tylko z oddali mignęła Melissie suknia w barwie purpury i złota i włosy upięte w koronę, żeby odsłonić gładkie czoło, które tak wysoko cieniono na Półwyspie.

Nie miała pojęcia, co powinna teraz zrobić.

Czarnowłosy mag znów ujął jej ramię i pomógł się wyprostować. Próbowwała jeszcze obejrzeć się na ojca i poszukać w jego oczach jakiejś wskazówki, lecz Corvo już wyprowadzał ją pomiędzy rzeźbami niobe z casolaro.

Słońce przetoczyło się na zachodnią stronę, rozścielając w dolinie rdzawe i gołębie cienie. W dole, widoczne poprzez krystaliczne górskie powietrze, rozpościerało się przed nimi Torrino o tysiącu wież, opasane kręgami wiejskich willi i złocistych pól.

Zaskoczyło ją, że minęło tak wiele czasu, odkąd obwieszczono przybycie gościa. A może magowie zabawili się w casolaro czasem, usypiając ją pomiędzy jednym a drugim uderzeniem serca, żeby nie usłyszała, jak rozprawiają o niepojętych sprawach czarodziejów. Nigdy nie umiała zgadnąć, jak daleko sięga ich władza. Nie zastanawiała się zresztą. Moce nie pociągały jej ani odrobinę. Wystarczyły kępy ziół, miodowa woń kwiecica i roztańczone strugi wody. I nawet one nie przemijały w tej zaklętej krainie, gdzie kwiaty rozchyłały się o świcie i drzewa wydawały owoce, lecz nic nie ginęło ani nie gniło i spełniało się odwieczne marzenie czarodziejów, żeby zdobyć coś, nie dając nic w zamian.